

Nadzieja chrześcijańska dziś

FOT. ISTOCK



Z ks. Robertem Skrzypczakiem, psychologiem i teologiem, profesorem i wykładowcą teologii dogmatycznej w Akademii Katolickiej oraz w Wyższym Metropolitalnym Seminarium Duchownym w Warszawie, rozmawiała Lucyna Słup.

Podziela Ksiądz pogląd, że zarówno w Kościele jak i w społeczeństwie przeżywamy dziś spory kryzys?

Tak. Pandemia postawiła znaki zapytania nad wieloma rzeczami, do których jesteśmy przyzwyczajeni. Wielu z nas utraciło kogoś bliskiego, stanęło wobec zagrożenia własnego życia, straciło pracę. Te utraty spowodowały lęk. Być może jako pokolenie po raz pierwszy stanęliśmy wobec groźby takiego lęku. A on ma swoje konsekwencje. Pismo Święte mówi, że lęk sprawia, iż człowiek staje się niewolnikiem czynienia zła. To tłu-

maczy, skąd w ludziach pojawiło się tyle gniewu. Ten gniew wylał się na ulice w postaci zamieszek ulicznych w wielu krajach świata – w Stanach Zjednoczonych, we Francji, w Hiszpanii. Podobnie było także w Polsce, choć u nas bezpośrednia przyczyna gniewu była inna. Wszyscy zostaliśmy zaskoczeni skalą wulgarności i zła, które zagościły na naszych ulicach w postaci „strajków kobiet” czy też ataków na świątynie i figury Maryi przy okazji Dnia Kobiet.

Epidemia okazała się więc pewnego rodzaju szkłem powiększającym, które ukazało, że w sytuacji zagrożenia jesteśmy bezbronni. Byliśmy

tak bardzo przekonani o naszej katolickiej sile, o przyzwyczajeniu ludzi do Kościoła i pobożnych praktyk. Myśleliśmy, że po epoce Jana Pawła II jako Kościół w Polsce staliśmy się silniejsi i że nie dotkną nas te procesy sekularyzacyjne, które przebiegają w Irlandii, Portugalii czy we Włoszech. A tymczasem one w nas uderzyły i najgwałtowniejsza „galopująca sekularyzacja” ma obecnie miejsce w najmłodszym pokoleniu Polaków.

Zapewne kryzysowi w Kościele sprzyjały skandale seksualne z udziałem osób duchownych, które się wtedy ujawniły...

Zapewne tak, bo ja sam byłem zaskoczony tym, że takie grzechy istnieją w Kościele i że tak wielka jest skala ich występowania. Ale nie mniej zostałem zaskoczony faktem, jak sprawnie środowiska nieprzychylnie Kościołowi „przerobiły” te rzeczywiste wydarzenia na rodzaj rozprzestrzeniającej się paniki... Być może zbyt słabo słuchaliśmy w Kościele przesłań z nieba, które tych spraw dotyczyły...

Jakie to przesłania?

Mam na myśli przede wszystkim objawienia Matki Bożej z Quito, która 400 lat temu ukazała siostrze Marii Mariannie Franciszce de Jesús Torres y Berriochoa, co się będzie działo z Kościołem w XX i XXI wieku. Maryja mówiła o wielkim kryzysie, przez który będzie musiało przejść chrześcijaństwo, o kryzysie, który dotknie szczególnie sakrament małżeństwa, kapłaństwa i pokuty oraz o wielkim cierpieniu, które spadnie na dzieci. To wszystko dzieje się na naszych oczach. Widzimy ogromne cierpienie dzieci, związane z pedofilią i nie tylko (choć trzeba podkreślić, że pedofilia nie jest tylko problemem kościelnym czy katolickim, występuje we wszystkich środowiskach i we wszystkich wyznaniach). Widzimy kryzys spowiedzi. U nas ludzie ciągle się spowiadają (choć w ostatnich dwóch latach zdecydowanie mniej), ale w krajach Zachodu, nawet jeśli ludzie chodzą do kościoła, zupełnie zatracili poczucie grzechu, a w związku z tym poczucie bycia odkupionym. Bycie chrześcijaninem to dla nich bycie dobrym obywatelem, sprzątanie planety, walka o lepsze powietrze, budowanie braterstwa między religiami... Przez środowiska katolików przebiegają głębokie podziały. Mamy do czynienia z ogromnymi kłótniami dotyczącymi sposobu przyjmowania Komunii świętej, władzy, podejścia do papieża, etyki seksualnej,

dyscypliny sakramentów, roli kobiety. Ale w ostatnich czasach pojawiło się też w Kościele sporo mistyków, wizjonerów. To pokazuje, że kryzys nie jest ostatnim zdaniem Bożej Opatrzności, że możemy mieć nadzieję na przezwycięzenie go.

Ale czym taka nadzieja jest? Czy jest to tylko spodziewanie się, że „będzie lepiej”?

Są różne rodzaje czy też „warstwy” nadziei. W najbardziej podstawowym wymiarze nadzieja jest związana z oczekiwaniem otrzymania jakiegoś dobra, kierowanym wobec ludzi czy wobec okoliczności. Spodziewamy się dobra ze strony kogoś (lub czegoś), ale okazuje się, że ten ktoś (lub coś) nie jest w stanie nam go dać. Wtedy przeżywamy rozczarowanie, nieraz bolesne. I tak musi być.

Czy możemy więc powiedzieć, że przechodząc przez rozczarowanie możemy dojść do prawdziwej nadziei?

Tak, bo ta prawdziwa nadzieja jest zakorzeniona tylko w Chrystusie. Kiedyś pewna osoba powiedziała coś, co mi bardzo pomogło: „Jeśli Chrystus chce, byś Go pokochał, to przeprowadzi cię przez całą ciąg rozczarowań. Będziesz się musiał rozczarować do wielu ludzi. Do członków rodziny, do nauczycieli, będziesz się musiał też rozczarować do wielu miejsc w Kościele, by się przekonać, że jedynym, w którym pokładasz nadzieję, jest Pan Bóg”. Bóg chce, byśmy Go rozpoznali, bo On jest Panem historii, objawia się przez wydarzenia, okoliczności, osoby. Mówi przez kerygmat, wydarzenia, historię Kościoła. Mówi także przez nasze doświadczenia. A z drugiej strony ten potężny, wszechmocny Bóg respektuje naszą wolność i nieraz potrzebuje poruszyć wieloma czynnikami w naszym życiu, by nas naprowadzić na Siebie.

Rozumiem, że możemy się rozczarować złem, które w życiu pełnialiśmy. Ale przecież wielu z nas wie, że dobre życie. Czy takim życiem też trzeba się rozczarować?

Często musimy się rozczarować także i czymś, co uważaliśmy za dobre. Mój przyjaciel, Włoch, całe życie chciał pojechać do Notre-Dame i rzeczywiście tak się stało. Gdy wszedł do katedry (było to jeszcze przed jej pożarem) i stanął na zimnej posadzce, jak grom z jasnego nieba uderzyła go myśl: „Przeżyłeś ponad pół wieku i nie kochałeś nikogo”. Mówił mi potem: „Całe życie starałem się być człowiekiem przyzwoitym, chodziłem w niedzielę do kościoła, dochowałem się wnuków, zawsze się interesowałem rzeczami przyzwoitymi – dobrą debatą, dobrą muzyką, dobrym spektaklem. I nie zadawałem sobie pytania: dlaczego moja żona choruje na depresję”. A żona, która była obok, potwierdziła, że od czasu powrotu z Paryża mąż się zmienił, że bardziej się nią interesuje. On zderyzował się mocą łaski Bożej ze swoim przyzwoitym życiem. Rozczarował się nim, zobaczył, że było ono jego bożkiem.

Dlaczego tak się dzieje?

Bo jako ludzie mamy Boskie pochodzenie i nie zadowolimy się byle czym. Nasze całe życie jest wędrówką poza to, co już osiągnęliśmy. Żadne doznanie nas nie usatysfakcjonuje. Jest w nas „apetyt na wieczność”. Kierując się tym apetytem, przywieramy do czegoś, co znajdujemy w życiu: do pieniędzy, powodzenia, kariery, zdrowia, ludzkiej życzliwości, rodziny, dzieci... A to wszystko przemija, jest tylko środkiem do celu, którym jest życie z Bogiem. „Stworzyłeś nas bowiem jako skierowanych ku Tobie” – mówił św. Augustyn. – „I niespokojne jest serce nasze, dopóki w Tobie nie spocznie”. My ►

◀ często życzymy sobie zdrowia, szczęścia, powodzenia, ale trzeba pamiętać, że Pan Jezus nie obiecywał nam szczęścia, ale życie wieczne. „Jeśli chcesz żyć – zachowuj przykazania, a jeśli chcesz być doskonały, sprzedaj wszystko co masz i pójdź za Mną” – powiedział do bogatego młodzieńca (por. Mt 19,21-22).

Prawdziwa nadzieja, prawdziwa wiara zaczyna się w nas wtedy, gdy załamiamy się wszelkie ludzkie próby szukania szczęścia. Dlatego też, gdy spotykamy ludzi głęboko wie-

głoszenie Ewangelii. Św. Paweł mówi, że spodobało się Panu zbawić wierzących przez „głupstwo głoszenia słowa” (por. 1 Kor 1,21), dlatego też pierwszym zadaniem Kościoła jest głoszenie Chrystusa ukrzyżowanego. Bardzo podobna mi się takie zdanie z *Evangelii Gaudium* Papieża Franciszka, że chrześcijaństwo to kerygmat, reszta to komentarz. Biada nam, jeśli o tym zapomnimy! Życie jest zawarte w działaniu Boga, w miłości Boga, która objawiła się w życiu, śmierci i zmartwychwstaniu Chry-

stusa. Miłosierdzia Bożego, ale że to miłosierdzie nie będzie się kojarzyło z niczym przyjemnym: kościoły będą puste, kapłani będą mieszkali w ciasnych pomieszczeniach, będą pogardzani. Ale – mówił ks. Dolindo – gdy to nadejdzie, nie wolno się załamywać, lecz trzeba nabrać ducha, bo to jest oczyszczenie, gdyż Chrystusowi zależy na tym, żeby Kościół był Mu wierny. Dopiero później nadejdzie wybuch niesamowitej miłości, a będzie to miłość eucharystyczna, miłość do Chrystusa.

To rzeczywiście niesamowita wizja przyszłości Kościoła. A wracając do naszego zwyczajnego, powszedniego życia: co robić, by otworzyć się na tę nadzieję przychodzącą z góry jako Boży dar?

To błogosławione pytanie! Gdy Jan Chrzciciel zaczął głosić słowo, ludzie przychodzili do niego i pytali „co mamy czynić?”. To pytanie pojawia się też, gdy Piotr głosi Ewangelię w dzień Zesłania Ducha Świętego. Jeśli w człowieku obudzi się takie pytanie, to znaczy, że słowo Boże zadziało.

Nadzieja jest jak kotwica zarzucona tam, gdzie jest chwała i miłość Boga. „My, którzyśmy się uciekli do uchwycenia zaofiarowanej nadziei. Trzymajmy się jej jako bezpiecznej i silnej kotwicy duszy” – mówi List do Hebrajczyków (Hbr 6,19). Chrystus chce żebyśmy dotarli do chwały i miłości Boga i prowadzi nas tam na różne sposoby. Nam pozostaje jedno: trzymać się zarzuconej przez Niego liny nawet, gdyby szarpało. Póki się trzymasz, dotrzesz do celu. Będziesz przechodził przez różne beznadziejne sytuacje w życiu, będziesz odkrywał, że sam jesteś beznadziejny, ale dzięki trzymaniu się zarzuconej przez Chrystusa liny, dojdiesz. Warto więc „trzymać się liny”, to znaczy modlić się uparczywie, z wiarą; chodzić na Msze święte, podejmować duchową walkę... Chrystus nas poprowadzi. ■



FOT. ISTOCK

rzących, to oni zawsze powiedzą o jakimś życiowym rozczarowaniu. I że to rozczarowanie doprowadziło ich do Chrystusa, który jest prawdziwym źródłem nadziei.

Skąd bierze się, że to właśnie Chrystus jest źródłem nadziei?

Jezus zmartwychwstał i On jeden jest w stanie pokonać w człowieku śmierć i związany z tym strach. Nadzieja, która nie przeprowadza człowieka poza śmierć, jest złudzeniem. My chrześcijanie nazywamy nadzieję „cnotą teologalną”. To jest dar z nieba, dar z wysoka.

Co budzi w nas taką nadzieję?

stusa. Niestety, możemy „używać” Chrystusa jako pretekstu do zajmowania się czymś innym.

Jako chrześcijanin odkrywam, że Chrystus okazał mi miłosierdzie, gdy byłem bezsilny. Nie potrafiłem nie grzeszyć, potrafiłem tylko niszczyć siebie i innych, nie potrafiłem wyzwolić się od zła. I właśnie w tym momencie Chrystus przyszedł ze swoim miłosierdziem i przebaczeniem i zaczął mnie zmieniać.

Myszę czasem, że być może plan Boży jest taki, że pozwala On, by Kościół był niszczone. Być może Kościół musi utracić wiele przywilejów, stanu posiadania. Ks. Dolindo Ruotolo mówił, że nadejdzie czas mi-